

cił się do ajenta, pilnującego więźnia — że najlepszym sposobem, aby doprowadzić winnego do zdradzenia się, jest podrażnić go i doprowadzić do utraty równowagi moralnej. Wtedy czyni jego same oskarżać go będą. Zabierzcie go stąd prędko!

Dozorcy otworzyli drzwi i przemocą wyprowadzili przez nie opierającego się Pradesa, który krzyczał, jak szalony:

— Łajdakul! Kanaliu! Jeszcze się spotkamy kiedy! A wtedy pilnuj dobrze swojej głowy, bo ci ją jednym uderzeniem zdejmę z karku!

Chwilę jeszcze głos jego ochrypiły i zduszony rozlegał się po długich korytarzach sądowego gmachu.

— A teraz — rzekł pan Ginory po chwili milczenia — zostawcie mnie samego z panem Montin.

— Samego? — powtórzył niespokojnie Bernardet spoglądając ze zdziwieniem na swojego zwierzchnika.

— Tak jest, samego — brzmiała odpowiedź pana Ginory'ego.

Pisarz na te słowa powstał, porządkując rozrzucone papiery i wkładając je do skórzanej torebki.

— Pan zostanie, panie Tavel — rzekł pan Ginory.

Bernardet, zdziwiony w najwyższym stopniu tym rozkazem, wyszedł powoli, oglądając się od drzwi kilkakrotnie.

— No, panie Montin — odezwał się łagodnie sędzia, kiedy oskarżony znalazł się tak, jak przed kilkoma dniami, naprzeciw niego podczas pierwszej z nim rozmowy — czy namyślił się pan już? Czy mogę liczyć na jaką odpowiedź od pana?

Jerzy Montin zacisnął silnie usta i nie odpowiadał wcale.

Pan Ginory spojrzał na jego twarz poważną, w której widniała energia i siła, i lekko wzruszył ramionami.

— Cóż więzienna — podjął dalej sędzia — jest dobrym doradcą. Przekonałem się wielokrotnie, że wpływa ona dodatnio na kierunek myśli zamkniętego w niej człowieka i budzi nieznane w nim dotąd uczucia i wrażenia.

— Tak! Ma pan słusność, panie sędzio — odparł Montin sarkastycznie. — Umysł człowieka gorąco pracuje w tych czterech wilgotnych ścianach. Nie zmrużyłem oka, odkąd się tam znajduję. Ani na chwilę nawet jedną! Bzsenność zabija mnie. Zdaje mi się, że wkrótce szaleństwo mnie ogarnie!

— Tak, tak — potwierdził pan Ginory — to musi być przykre uczucie... A więc, panie Montin...

— A więc...

Montin rzucił szybkie spojrzenie na pisarza, siedzącego przy stoliku w pogotowiu. Czekał cierpliwie oparłszy brodę na ręce, w której trzymał pióro.

— A więc, panie sędzio — podjął oskarżony wzruszonym głosem — oto, jak rzeczy stoją. Uczyniłem sobie niegdyś niezłomne postanowienie milczenia i zachowania przysięgi, którą mnie obarczono. Jednakże obecnie znajduję się w takim rozstroju ogólnym, że przysięgi tej wypełnić nie jestem w stanie.

— Ah! — szepnął sędzia z ciekawością, patrząc na Jerzego Montin. — Słowa te sprawiają mi wielkie zadowolenie, naprawdę.

— I dziwi pana również, panie sędzio — odparł ze smutnym uśmiechem Montin — ale to trudno... doprowadził mnie pan sam do tego stanu... Męczę się strasznie... duszę się w tem zatekłym powietrzu mojego więzienia... Oh, dobry psycholog z pana, panie sędzio! Pan wiedział, czym złamać mój upór i doprowadzić mnie do mówienia...

— Więc teraz liczyć mogę na zeznania pana? — przerwał lekko zmieszany pan Ginory.

— Tak jest. Ale to, co panu mam do powiedzenia, pan tylko jeden usłyszeć może. Pan tylko jeden... Powiem wszystko... wszystko... ale niech nie będzie świadków przy naszej rozmowie.

— Dobrze, stanie się według życzenia pana — odpowiedział uprzejmie pan Ginory, niemniej wzruszony od więźnia. — Panie Tavel... niepotrzebnym mi pan teraz będzie.

Pisarz wstał szybko i, kłaniając się, wyszedł z pokoju.

Jerzy Montin, podniecony i zdenerwowany, przechadzał się nierównym krokiem po gabinecie, przystając chwilami i zatapiając się w głębokim rozmyślaniu.

Pan Ginory, wodząc za nim ciekawym spojrzeniem, czekał cierpliwie, aż sam rozpocznie rozmowę.

Ale Jerzy Montin, tak, jak gdyby zapomniał o danej obietnicy. Zamyślał się coraz częściej i coraz większa bladeść ogarniała jego twarz zmęczoną...

— To niemożliwe... to niemożliwe — szepnął, ręką przesuwając po czole — a jednak muszę... muszę... czuję, że oszaleję...

Nareszcie zwrócił na sędziego oczy, w których przebiegała się rozpacz i wielkie cierpienie fizyczne i badał długą chwilę jego niewzruszoną, spokojną twarz.

— Może zechce pan usiąść, panie Montin? — przerwał milczenie sędzia. — Te kilka dni w więzieniu ostatecznie pana.

Na słowo „więzienie“, Montin wstrząsnął się nerwowo.

— Tak — odparł bezwładnie, opadając na krzesło. — Zmęczony jestem.

— Sądzę, że uspokoi się pan, kiedy nareszcie zrzuci ze siebie ten ciężar przygniatający — rzekł dobrotnie pan Ginory.

Po twarzy oskarżonego przeszedł jeszcze cień wahania.

— Panie sędzio — odezwał się niespokojnie — czy to wszystko, co w tym gabinecie wypowiedziane zostanie, będzie powtórzone w sali sądowej, przed publicznością? Czy to jest konieczne? Czy tego nie będzie można uniknąć?

— To zależy — odpowiedział pan Ginory. — Pomówimy jeszcze o tem w danej chwili. W każdym razie winien pan przedewszystkiem to, co pan wie, wyjaśnić sprawiedliwości. Czy to będzie zwierzenie, oskarżenie, czy wyjaśnienie, ja, jako sędzia śledczy, prowadzący sprawę, wiedzieć muszę.

— Musi pan? — powtórzył Jerzy Montin, prostując się ostatnim wysiłkiem.

— Nie tylko muszę, ale mam prawo żądać od pana całej prawdy! Pan to przecież rozumieć powinien.

— Rozumiem. Niech i tak będzie. Ale zwracać się będę więcej do człowieka honoru, niż do urzędnika, przedstawiającego wyższą władzę.

— Są oni nieodłączni od siebie — rzekł poważnie pan Ginory. — Niech się pan dłużej nie waha.

— Jeżeli dotąd wahałem się, jeżeli przyjąłem dobrowolnie na siebie rolę winnego, to jedynie dla tej przyczyny, iż wydawało mi się rzeczą nieprawdopodobną, aby prawda sama nie ukazała się w jakiś sposób w prawdziwym świetle.

— Czekal pan więc na sprzyjające okoliczności? — podjął pan Ginory. — To było ryzykowne postanowienie. Mógł pan je odpokutować ciężko.

— Ma pan słusność, ale ludźmiem się do chwili ostatniej, że bez mojego współudziału, bez zerwania przysięgi, wiążącej mnie, doczekam się wyjaśnienia całej sprawy. Bo przecież pan sędzia musi przyznać, że nie jest rzeczą łatwą wyjaśnić tajemnicę, która nie do nas należy.

— Sędziemu śledczemu można wszystko powiedzieć — zauważył pan Ginory. — W pokoju tym, w którym się znajdujemy, odebrałem już wiele ważnych zwierzeń i zeznań, które nie wyszły poza te drzwi, tak, jak z kof sjonatu spowiednika. Może mi pan zaufać panie Montin. Jeżeli to tylko będzie możliwe i zgodne z wymaganiami prawa, nie zawiodę zaufania pana.

— Dziękuję panu! — zawołał gorąco Jerzy Montin, patrząc z wdzięcznością na sędziego.

Pan Ginory sam dziwił się nagłej zmianie, jaka w nim nastąpiła. Jeszcze przed godziną gotów był Jerzego Montin oskarżyć o kłamstwo, wierząc, że gra komedię, dobrze obmyślaną i przygotowaną zawczasu, uśmiechał się pogardliwie, słysząc o tej fikcyjnej przysiędze, zmuszającej go do milczenia, którą uważał tylko za środek do zakrycia winy! A teraz do umysłu sędziego wkraadało się coraz silniejsze przecucie, że ten człowiek szczerym był w swoich zeznaniach i musiał mieć ważny powód do milczenia, które równie surowo oskarżało go, jak jawne przyznanie się do popełnionej zbrodni.

Pan Ginory czuł nawet pewne wyrzuty sumienia i patrzył ze współczuciem na bladą, znużoną twarz oskarżonego.

Dzisiaj Jerzy Montin w sposób całkiem odmienny przystępował do kwestyi. Mówił głosem spokojnym i stanowczym, nie unosząc się gniewem i dumą, jak przy pierwszych badaniach w tym samym gabinecie.

Dłuższe rozmyślanie i samotność, a przedewszystkiem kilkodzienny pobyt w celi więziennej, złamało upór tego wytwornego, ambitnego człowieka. Pan Ginory wiedział już teraz, że nie będzie potrzebował użyć gróźb i ostrych nalegań, aby wydobyć z niego tak zazdrośnie chowaną tajemnicę. Więzienie w tym wypadku okazało się najlepszym sprzymierzeńcem sędziego.

— Powiem panu wszystko, panie sędzio. — przemówił po chwili milczenia oskarżony. — Jestem do tego pomimo woli zmuszony. Pomimo mojej nadziei, prawie pewności, nie zaszło dotąd poza moją wiedzę nic takiego, co by przekonać pana mogło, że nie kłamałem i jestem uczciwym człowiekiem.

— Słucham pana! — odparł pan Ginory, nie mogąc ukryć ogarniającego go wzruszenia.

XII.

Spowiedź Jerzego Montin trwała długo. Wypowiedziana była głosem przejmującym, pełnym smutku

i nerwowego podniecenia. Przed oczyma zasłuchanego sędziego przewiały się lata młodości oskarżonego, przeżyte wspólnie z ukochanym przyjacielem, Roverem, wspomnienia dziecięce, przeszłość szczęśliwa na zawsze zatarta — a później, kiedy już pierwszy szron życia zwarzył młodociane popędy i marzenia, szereg gorzkich rozczarowań, żal za niepowrotnie zmarnowanym życiem, ciężkie chwile wyrzutów, szamotanie się bezskuteczne, które doprowadziło go do rzucenia się w wir światowego życia, gdzie szukać chciał zapomnienia i chwilowych rozrywek, mogących mu choć w części zastąpić to, co zmarnował lekko-myślnie.

— Oh! Panie sędzio, ciężko opłaciłem szaleństwa mojego bezcelowego życia. — mówił Jerzy Montin wzruszonym głosem — Doprowadziły mnie do tego, co jest dzisiaj. Gdyby nie one, gdyby nie to życie hulaszce, które prowadziłem czas jakiś, takie straszne podejrzenie spaśćby na mnie nie mogło. W tem życiu niespokojnem i niedorzecznem, jakie sobie sam stworzyłem. Henryk Rovere, ten, o którego zamordowanie posadzono mnie — był jedynym, prawdziwym i szczerym przyjacielem. Był on moją podporą w niejednej, ciężkiej chwili i człowiekiem, na którym mógłbym polegać w zupełności.

Rovere zaś, według określenia Jerzego Montin, był to filozof dziwnie pesymistycznie zapatrujący się na wszystkie sprawy życia. Tak, jak i jego przyjaciel, kilka lat pierwszej młodości poświęcił zabawom i użyciu, nie mogąc pokonać w sobie pragnienia radości i rozkoszy. Widywano go wszędzie, gdzie wesołość i sztuczny humor kazał zapominać o poważniejszych celach i obowiązkach, ale ten stan u niego trwał krótko. Przekonał się wreszcie, że bezinteresowna przyjaźń rzadką jest rzeczą, zabawy i pijatyki nie dają mu tego, czego szukał i wycofał się zupełnie z dawnych, błyskotliwych towarzystw, przekładając nad nie samotność i spokój.

— Ja, wówczas jeszcze — mówił dalej Jerzy Montin — nie przestawałem gonić za przyjemnościami, nie zwracając uwagi na siwiejące już włosy na skroniach i wyraz politowania i zdumienia, z jakim mnie witali młodzi odemnie przyjaciele, zdziwieni moją upartą obecnością w jasno oświetlonych salonach, napełnionych śmiechem i głośnie rozmową. Zauważyłem, że w Rovere w tym czasie wystąpiło jeszcze gorętsze pragnienie samotności. Zamykał się dniami całymi u siebie, nie dopuszczając do siebie nikogo, rozmyślając nad latami zmarnowanego życia. Wtedy przyjaźń nasza zacieśniała się jeszcze więcej. Ja jeden tylko przestępowałem próg jego mieszkania. Dziwna z nas była para przyjaciół. Ja starałem się oglądać dalej, aby zapomnieć o przeszłości, nie patrząc, co mi przyniesie dzień następny — on zaś stawał się z dniem każdym dzikszy i nieprzystępniejszy dla ludzi.

— Dziwnie skomplikowana jest natura ludzka. — zauważył pan Ginory, milczący dotąd — Ciekawym jest, dlaczego, pomimo tego silnego węzła przyjaźni, jaki was wiązał ze sobą, usposobienia wasze nie uległy obopólnej zmianie?

Pan Ginory, mówiąc to głębokiem spojrzeniem objął postać Jerzego Montin i zdumiał się wyrazem jego twarzy. Tragiczny smutek wywołany wspomnieniami o zmarłym przyjacielu, przebiegał się w jego zamglonych oczach, usta drgały nerwowym skurczem, a na skroniach ukazała się sieć ciemnych, nabrzmiałych krwią żył.

— Nie sądzi pan chyba, że dalej gram komedię, tak, jak to mnie pan nierwotnie posadzał. — podjął wzruszonym głosem Montin — Niech mi pan wierzy, ja szczerze przywiązany byłem do Rovere. Z biegiem lat, życie rozdzieliło nas kilkakrotnie. On poszedł szukać szczęścia i majątku, gdzieś na krańcach świata, ja zaś niszczyłem to, co miałem w Paryżu. Ale wiedzieliśmy zawsze o sobie i kiedy Rovere powracał do Francji, witaliśmy się z równą zawsze radością. I naprawdę mogę powiedzieć, że z rokiem każdym, który głowy nasze przyprószał siwizną, przyjaźń nasza utrwalała się i stawała się gorętszą. Rovere w gruncie rzeczy nie posiadał nigdy szczerzej wesołości. Był, więcej niż ja, zamknięty w sobie i milczący. Od najpierwszych lat młodości włócił za sobą nieodstępną i tragiczną towarzyszkę — nudę. Jeżeli wybrał karierę dyplomatyczną, to jedynie w tym celu, aby jako konsul mógł podróżować, żyć daleko od dawnych ludzi i miejsc i prowadzić życie zupełnie odmienne od tego, jakie wiódł dotąd. Powtarzałem mu często ze śmiechem, że dęczy go jakaś miłość nieszczęśliwa, o której zapomnieć nie może.

(Ciąg dalszy nastąpi.)